

Orzeszkowa Eliza

PANNA ANTONINA

– Gdybym miała dwanaście córek, wszystkie co do jednej wykierowałabym na profesorów uniwersytetu! Tak, wszystkie co do jednej, chociażbym sobie na to oczy z głowy wyłupić musiała, chociażby mię za to ludzie biczowali, krzyżowali i kamieniowali, wszystkie co do jednej byłyby profesorami uniwersytetu! Tak! Dwanaście córek i dwanaście katedr! Takim było zawsze najdroższe marzenie moje... O! pokazałabym ja wtedy światu, co kobiety mogą i do czego są zdolne. Byłabym też szczęśliwą, bo widok dzieci moich wynagrodziłby mi wszystko to, co... przecierpiałam sama...

Istotnie, patrząc na nią, z łatwością uwierzyć można było, że w życiu swym przecierpiała wiele. Była to teraz kobieta lat trzydziestu kilku, chuda, koścista nieco, trzymająca się zawsze prosto, chodząca zwawo i raźnie, z energicznymi gestami delikatnych, podługowatych rąk, których błękitne żyłki przebijające się przez cienką skórę objawiały dość wysoki stopień fizycznego wycieńczenia. Wycieńczenie to widocznym też było i w twarzy panny Antoniny. Z profilu widziana wyglądała dość jeszcze młodo, bo rysy miała prawidłowo i delikatnie zarysowane, lecz gdy się na nią wprost, twarzą w twarz patrzyło, wydłużenie chudych policzków jej, czoło okryte

rojem drobnych zmarszczek i żółtawa, bezkrwista jej
cera sprawiały wrażenie przedwczesnego zwiędnięcia.
Kiedy wpadała w zapał, co zdarzało się bardzo często,
cienkie, blade jej wargi drgały nerwowo, a piwne,
zagłębione oczy ciskały iskry

i płomienie. Ubierała się zawsze jednostajnie, w czarną suknię, której stanik obciśle zarysowywał wyprostowaną, suchą jej kibić, i w niepokalanie białe kołnierzyki i mankiety. Nigdy błyskotki żadnej ani żadnego przyozdobienia stroju z wyjątkiem kawałka czarnej koronki, którym przysłaniała włosy swe, czarne niegdyś, teraz z lekka już siwiejące i dwoma gładkimi pasmami nisko na czoło zsunięte. Sposób ten czesania się nadawał wysokiemu czołu jej postać dość regularnego trójkąta i powiększał blask ognistych oczu. W ogóle charakterystycznymi cechami powierzchowności tej były: cierpienie i energia.

– Tak; dwanaście córek i dwanaście katedr, i – nikt mi tego z głowy me wybije! Ja nawet zupełnie tego nie rozumiem, jak państwo możecie słuszności mi nie przyznawać. Cóż to? Powiadacie mi, że ptaszki nie orzą i nie sieją, a jednakże żyją! Dziękuję! Śliczne mi to pocieszenie! Nie orać i nie siać! Ja bo jak patrzę na te nieorzące i niesiejące, to taka mię złość ogarnia, żebym je pięścią do siania i orania naganiała! Tak, pięścią naganiałabym; bo to próżniaczki są, lalki, pijawki, pasożyty wysysające soki z drzewa społeczeństwa! O! żebym miała córki, nigdy nie pozwoliłabym im na coś podobnego, nigdy, nigdy! Niechby lepiej poumieraly dziećmi! Takie są moje przekonania i biczujcie mię, krzyżujcie, ścinajcie, a już ja od swego nie odstąpię!

Nie tylko biczować ją, krzyżować i ścinać, ale nawet zaprzeczać jej nikt nie myślał.

Było to w malutkim, niskim pokoiku znajdującym się pod dachem wysokiej kamienicy miejskiej. Panna Antonina siedziała na sprężynowej kanapce bardzo staro i ubogo wyglądającej, przed okrągłym stolikiem, na którym paliła się świeca stearynowa w żelaznym lichtarzu i stały

trzy szklanki z herbatą. Przy ścianie przeciwległej znajdowało się łóżeczko wąskie, ze szczupłą, twardą i śnieży- || ście białą pościelą, dalej stała komódka pełna kajetów || dziecinnych i książek ze zniszczoną oprawą, dalej dwa czy trzy żółte, stare krzesła, jakiś taburecik ze splewiałym pokryciem, samowarek gotujący się na ziemi przed otwartym piecem, na ścianach kilka historycznych rycin z ilustrowanych dzienników wyciętych i szpilkami przymocowanych do obicia zasianego polnymi kwiatkami; u jedynego Okna kilka zielonych roślin w doniczkach i klatka z kanarkiem. Pokoik ten był nadywyczaj czysty. Obicie z polnymi kwiatkami, wazoniki, ptaszek w klatce i śnieżnie usłane, wąskie łóżko nadawały mu pewien charakter naiwności, na tle której dziwnie odbijała czarno ubrana, surowa i sucha postać jego właścicielki.

Patrzałam na nią z ciekawością i współczuciem. Ani dwanaście córek w połączeniu z dwunastu katedrami, ani „drzewo społeczeństwa”, ani uderzania pięścią w stół nie zrażały mnie do niej. Znałam ją od dawna.

– Jednakże – nieśmiało zaczęłam – pani sama nie zajmowałaś nigdy katedry profesorskiej, a któż powiedzieć może, że nie siejesz i nie orzesz?...

Spojrzała na mnie bystro, podejrzliwie, jakby usiłując przekonać się, że w słowach moich złośliwości lub ironii nie było, potem smutnie skinęła głową, a ręką uczyniła gest zniechęcenia.

– Oj! – rzekła – także tam sianie i oranie moje! Boże odpuść! ^ ;

Chude, długie, delikatne ręce swe na czarnej sukni splotła i cichszym znacznie głosem zaczęła:

– To prawda; dwadzieścia i jeden lat skończyło się na wiosnę, odkąd nauczycielką jestem. Prosto z pensji, tak,

prościutko z pensji na nauczycielkę poszłam. Ani jednego dnia swobodnie po świecie nie bujałam. Ojca już na tej ziemi nie było, chora matka u krewnych mieszkała. Prosto więc z pensji – do cudzego domu/ No i cóż dalej? Przez siedemnaście lat z domu do domu... a cztery lata, odkąd tu osiadłam, bo przekonałam się ostatecznie, że wszystkie ściany na świecie zimne i wszystkie serca cudze... Te ściany i te serca swoją drogą, a swoją drogą – własna głupota! Takem ja zupełnie do nauczycielstwa, jak wół do karety. Czy to ja nie rozumiem, co to jest – gwiazda wiedzy i jak mnie do niej daleko? O! gwiazda wiedzy! Kto tam o czym marzy i do czego wzdycha, a ja o niej tylko marzyłam... Wzlatywałam też, wzlatywałam do niej i tędy i owędy, i tak i owak, ale – sposobów i czasu nie było. Głód moralny – i koniec! O! żebym miała córki,;

Wszystko to mówiła z wielką ciszą w postawie i ze spuszczonej oczami. Widocznie, do zwierzeń się i wywnętrzań nie przyzwyczajona, wstydziła się nieco, że tak długo o samej sobie mówi. Nagle spostrzegła, że szklanki przed gośćmi jej stojące są już próżne. Zerwała się żywo z kanapki i pochwyciwszy szklanki do samowarka pobie* gła. Chciałam wyręczyć ją w nalaniu herbaty, bo samowarek stał na ziemi, a wiedziałam o tym, że nachylanie się sprawiało jej przykrość z powodu artretyzmu w nogach i ramionach, którego lekkich jeszcze ataków od pewnego czasu doświadczała. Lecz dobre chęci moje bardzo energicznie odrzuconymi zostały.

– O, nie! o, nie! – zawołała. – Tak mi jest miło służyć paniom w mojej chatce! Rzadko miewam gości, ot! prawie nigdy. Czasem chyba która z dziewczątek tych, młodych koleżanek moich, wpadnie do mnie na chwilę,

ale i to rzadko bywa, bo czasu niebożątka nie mają i z
mło

dymi' przestawać wołać. Nie mam ja też do nikogo pretensji o nic. Każdy ma swoje zajęcie i stosunki... A te wielkie przyjaźnie i przywiązania pomiędzy obcymi sobie ludźmi, to tylko w powieściach... Ot, córki dobre kiedy kto ma... •o! córki...

Postawiła na stole szklanki z herbatą, starannie pokroiła i na talerzu ułożyła bułeczkę, a czyniąc to uśmiechała się wesoło.

– Tak mi jest miło przyjmować panie w moim domku...
– I przy tym – dodała zaraz – wszystko w małym gospodarstwie moim robię zawsze sama, a to dlatego, aby przekonać ludzi, że kobieta, która samodzielnie żyje i do gwiazdy wiedzy wzdycha niekoniecznie już w życiu praktycznym musi być bałwanem!

„Samodzielność kobiety” i „gwiazda wiedzy”, ilekroć je wspomniała, nieuniknienie wprawiały ją w zapał. I teraz też szerokim, energicznym gestem wskazała nam ściany pokoiku swego i napełniające go przedmioty.

— A co? — zawołała —; czysto, porządnie i choć ubogo, ale i trochę nawet elegancko! Obicie to z maczkami i bławatkami sama wybrałam w sklepie, jakem się tu wносиła. I kwiatki są, i kanareczek, i ryciny takie, na jakie mię stać było... Ot! niech przyjdą i zobaczą, że kobieta, która sama dla siebie na kawałek chleba zapracowuje, a naukę ubóstwa.., niekoniecznie przecież musi być niechlujem!

– O kim to pani mówi, aby przyszli i zobaczyli? — zapytałam.

– At! — zawołała — albo to. pani nie wiesz? Kobietożercy, tyrani, gwałciciele praw boskich i ludzkich, którzy odmawiają kobietom praw do nauki i samodzielnością a gdy tylko która z nas palcem poruszy u nich o pozwolenie nie

poprosiwszy arabskie awantury na nią wygadują... O! żeby ja miała córki..

Zauważyłam, że w marzeniach swych zanadto może jednostronną jest, dwanaście na raz kobiet na katedrach profesorskich osadzając, że przecież inne jeszcze gałęzie pracy Judzkiej..

– No, no! – przerwała – to tylko tak się mówi! Naturalnie, że są inne gałęzie.. Ale ot! skąd mi się te katedry wzięły...

Zaśmiała się wesoło.

– Wiesz pani dobrze o tym, że ja w życiu moim z uczonymi ludźmi nigdy żadnych stosunków nie miałam. Po obywatelskich domach młodość całą przewłóczyłam się, a obywatelstwo nasze – wiadomo... Otóż raz tylko przez całe życie moje zdarzyło mi się spotkać profesora uniwersytetu... Miałam wtedy już lat pod trzydzieści i, wiesz pani? o mało, o mało, żem przed człowiekiem tym nie uklękała. Mąż nauki! pani moja! pokolenia¹ młode do gwiazdy wiedzy prowadzi! Śmieli się wtedy wszyscy ze mnie, mówili, że pomiędzy nimi bywają tacy i owacy. A mnie co do tego? Kapłan nauki i – koniec. Wtedy też na człowieka tego patrząc pomyślałam sobie: „Gdybym to ja na jego miejscu była!” Aż mi się w głowie od myśli tej zakręciło! Gdzie tam mnie, mizernemu robakowi, o takim szczęściu myśleć! Ale potem przyszło mi do głowy, że gdybym miała córki... I od tego czasu, ile razy pomyślę sobie o córce, tyle razy obok ślicznej dziewczyny zdrowej, szczęśliwej, matkę swoją z całego serca kochającej, widzę profesorską katedrę... Tak to czasem, pani moja, człowiek swój głód moralny różnymi wyobrażeniami uspakaja... Czasem ja ramiona dziewczyny tej mojej wymarzonej około szyi swojej

Nosiła jeszcze wtedy kolorowe suknie | czarne włosy swe dość pretensjonalnie zaczesywała, ale nie była już świeżą i zaczynała stawać się chudą, kościstą. Zwiędnięciu temu, nader przedwczesnemu, towarzyszyła przecież świeżość uczuć do egzaltacji i naiwności posunięta. Zajmowała miejsce nauczycielki w trzecim już z kolei domu i po raz trzeci była pod wpływem najzupełniejszego złudzenia, że na zawsze albo przynajmniej na bardzo długo stała się przybranym członkiem rodziny, wśród której zostawała. W rzeczy samej rodzina ta, jakkolwiek z osób uczciwych i dobrze wychowanych złożona, o żadnym przybieraniu jej za członka swego ani myślała. Czuła się ona i uznawała najzupełniej w komplecie i nie uczuwała ani widziała potrzeby jakiegokolwiek powiększania się przez przyjmowanie w siebie osób obcych. Obchodzono się z nauczycielką dobrze przez przyzwoitość i prostą życzliwość, trzymano ją, bo nie widziano, jaką by korzyść odprawienie jej przynieść mogło; przy tym z nadmiernej czułości jej wszystkim otaczającym okazywanej i z przebijającego się niekiedy w mowie jej patosu, jak też czasem z loczków, które wysoko piętrzyła nad czołem, i z całonocnych przesadywań jej nad książkami śmiano się po cichu. Śmiano się z niej tak cicho i tajemnie, że istotnie ona tego nigdy spostrzec ani dosłyszeć nie mogła. W zamian każdy żywszy objaw prostej grzeczności, każde cieplejsze nieco uściśnienie ręki lub życzliwsze słowo przybierały w oczach jej znaczenie uczuć gorących i trwałych. Pod wpływem ich tajała cała w przywiązaniu i wdzięczności, z zapalem i gorliwością niezrównaną oddawała się na usługi każdego, kto ich zażądał. Przede wszystkim duszą i ciałem oddawała się uczennicom swym i ciekawym był istotnie widok, jak-we

wszelkich z nimi stosunkach heroicznie i sku-

tecznie walczyła z wrodzoną sobie żywością i popędliwością, zarówno jak z niedostatkami wykształcenia własnego. Pensyjka, z której zaczerpnęła była cały zasób swej wiedzy, była pensijką bardzo mizerną. Toteż zrazu panna Antonina zająć mogła miejsce tylko nauczycielki początkowej. W tym trzecim jednak domu zostając udzielała już nauki średniej. Postęp ten nie przyszedł sam przez się. Aby go zdobyć, .przesiedziała 'była z pięćset nocy nad gramatykami różnymi, ze trzysta przynajmniej nad historią i jeografią i ze sto pięćdziesiąt nad arytmetyką. Były to już wszystkie prawie gałęzie nauki, których znajomości od niej żądano. Żądano wprawdzie jeszcze, d nawet bardzo usilnie, muzyki, ale w tej panna Antonina żadnymi już pod słońcem usiłowaniami wydoskonalić się nie mogła. Po prostu nie miała ucha do muzyki, a pomimo że ręce jej były kształtne i delikatne, palce uderzały zawsze i niezmiennie po dwa klawisze na raz. Muzyce więc całkiem za wygraną dała. Natomiast ilekroć ktokolwiek zapytał ją, dlaczego w pokoju jej po całych nocach pali się światło, - podnosiła głowę i z oczami błyskającymi od zapału, śmiało i natoet z dumą odpowiadała: | – Kształcę się.

Kształcenie się było ambicją jej, namiętnością, drugim pragnieniem całej jej młodości. Postępowało ono czasem dziwnymi drogami. Tak na przykład dla wprawienia się w język francuski tłumaczyła ona kilkatomowe powieści francuskie i uczyła się recytować, na pamięć długie ich ustępy; ażeby zaś zdobyć szerszą wiedzę o świecie i ludziach, kilka miesięcy ślęczała nad ogromnych rozmiarów dziełem o strategii wojskowej. Szczególnie to skierowywanie się jej studiów było

wynikiem prostego wypadku. - Pani domu lubiła czytać francuskie powieści; pan domu

był eks-wojskowym. Suego więc, Dumasa, Sanda p strategią znalazła w starej biblioteczce domowej i z kilkoletnie- go pyłu otarłszy za skarby znalezione uznała. Innych książek w domu nie było, a ona sama skądże by mieć je mogła? Pensją brała niewielką i trzy czwarte jej odsyłała chorej matce. Za pozostałe pieniądze sprawiała sobie suknie tanie, ale tak co do barwy, jak co do kroju usiłujące zawsze mieć w sobie coś poetycznego. To dążenie do poe- tyczności w ubieraniu, sia jak też piętrzenie loczków nad czołem świadczyć zdawało się, że w porze tej swego życia panna Antonina oprócz dwu powyżej wymienionych miała jedno jeszcze, bardzo właściwe wiekowi jej pragnienie. Zapewne marzyła czasem o tym, aby kochać, być kochaną i – wyjść za mąż. Jednak, na pe^^^^iocarei g§ można, że ten rząd pragnień i marzeń stał u niej na planie dalekim. Głównie i przede wszystkim szło jej o to, aby być członkiem rodziny jakiejś i kształcić się. Była też najzupełniej pewną, że osiągnęła pierwsze z pragnień tych, a dokonywa drugiego, gdy niby piorun ugodziła .w nią wiadomość, że przez caluteńkie dwa lata zostawała pod wpływem najzupełniejszego złudzenia i że z porą, l w której uczennice jej potrzebowały rozpocząć naukę muzyki, przyszła chwila, w której ona z domu ich ustąpić musiała. Jak to! rodzina ta więc lubiąc i szanując ją uważała ją zawsze za osobę obcą i tymczasowo tylko niezbędną! -Jak to! więc nie kochano ją naprawdę i odprawiano, gdy tylko jednej potrzebie jakiejś zadośćuczynić nie mogła! Była to dla niej trzecia już z rzędu niespodzianka podobna, niemniej wywarła na nią wrażenie takie samo zupełnie, albo może i silniejsze, jak pierwsza i druga. Zapomniała nawet o kształceniu się. Przez dwa tygodnie po całych nocach zalewała się

łzami, po wszystkich samot-

nych kątach domu i ogrodu załamywała ręce i na pożegnanie całowała Sprzęty i drzewa; duże już i ciężkie dzieci na ręce porywała dusząc je w uściskach i- Wlewając w ich uszy całe dykcjonarze najczulszych wyrazów. Na koniec, gdy z twarzą spuchniętą od płaczu, zmęczona, chora prawie wsiadła do powozu i wyjechała za bramę ład-- nego wiejskiego dworu, osłupiałym wzrokiem powiodła po szerokich polach i jeściennym niebie, bo doświadczyła takiego uczucia, jak gdyby świat cały był jedną bezgraniczną, cichą i zimną pustynią. %

W czwartym z kolei domu przebyła dłużej nieco jak w trzecim, niepospolicie nawet długo, bo całe lat trzy. Zawdzięczała to nowym postępom, które w kształceniu się swym dokonała, a które pozwalało jej dalej już nieco posuwać Edukację młodych dziewcząt, nade wszystko zaś istnieniu staruszki pewnej, babki pani domu, której stała się ulubienicą, sługą i— ofiarą. Nie mogąc Już tym razem na sposób żaden łudzić się co do usposobień względem niej pani i pana domu, ludzi dumnych i zimnych, nie mogąc zdobyć sobie przywiązania dzieci, nieszczęśliwie przez naturę utworzonych a źle wychowanych — przyłgnęła, można powiedzieć, przykleiła się do staruszki. "Przede wszystkim wyidealizowała ją sobie. W rzeczywistości osiemdziesięcioletnia przeszła osoba ta, jeżeli i posiadała kiedy jakiegokolwiek przymioty umysłu i serca, ze szczętem je utraciła i teraz przedstawiała już zaledwie niekształtne i niedołączne resztki ciała, ożywione zaledwie dostrzegalnymi resztkami ludzkiej" duszy. Dla panny Antoniny jednak dziecinne kaprysy jej, samolubne wymagania i bezmyślne gadaniny były „wspaniałym i rozrzewniającym majestatem starości". Co

najważniejsza, to że z jednej strony przypominała jej ona babkę w dzieciństwie ukochaną i utracę

na, a z drugiej strony miała prześliczne, długie i gęste włosy z białością śniegu a połyskiem srebra. Panna Antonina kwadransie i godziny przepędzała na klęczkach lub na niskim stołeczku u stóp fotelu jej albo łóżka. Bawiła ją opowiadaniem powieści Suego i Sanda, studziła jej rosoły i gotowała ziółka, pielęgnowała ją w chorobach i popychała wózek jej po cienistych alejach ogrodu. W zamian tego wszystkiego staruszka pozwalała jej nazywać siebie babcią i od czasu do czasu nazywała też ją zdrobniałym imieniem Antosi. To ostatnie szczególnie sprawiało jej wielką przyjemność. Powoli cały ciężar „majestatu starości” na jej barki włożono. Ona upatrywała w tym dowód zaufania i szacunku, co napełniało ją uczuciem przychylności i wdzięczności dla ludzi, którzy zresztą patrzyli na nią Bar- f. dzo z góry. Drugim szczęściem jej w domu tym doświadczanym była możliwość dalszego kształcenia się polegająca na czytaniu filozofów niemieckich, których pan domu był zwolennikiem wielkim i zbiór spory posiadał. W porach więc, w których ani staruszka, ani dzieci jej nie potrzebowały, czytała, czytała, czytała filozofów niemieckich i kilkanaście miesięcy upłynęło, zanim zrozumiała, że nic nie rozumie i że cała ta ciężka praca, której dokonała, nie przyniosła jej korzyści żadnej. W innym czasie odkrycie to napełniłoby ją smutkiem, teraz jednak nie myślała o biadaniu nad poniesioną stratą sił i czasu, bo najdroższa staruszka jej szybko bardzo zbliżała się do chwili, w której „majestat starości” ustępuje przed „grozą śmierci”. Umarła, Przed skonaniami resztki duszy jej wzmogły się na siłach, gasnącym wzrokiem szukała pośród obecnych panny Antoniny, a gdy ta wzrok ten zrozumiał przy łóżku jej uklękła, zeschnęła i kostniejącą dłoń swą w znak błogo-

sławieństwa na głowie jej położyła. Panna Antonina

o chwili tej i o niemym tym 'błogosławieństwie wspominała zawsze z silnym wzruszeniem. Nazywała je jednym z najpiękniejszych Wspomnień swoich. Jednym za to z naj- przykrzejszych wspomnień było ofiarowanie jej w parę dni potem przez panią domu w kształcie wynagrodzenia za czułość babce jej okazywaną jedwabnej sukni i szczerozłotej broszy, których naturalnie nie przyjęła, i –?. oświadczenie tejże pani domu, że przed miesiącami wakacyjnymi dom ich opuścić powinna, co uczyniła, nie w ten już jednak sposób, w jaki opuszczała doan poprzedni, bo bez płaczu, łamania rąk i całowania ścian i krzesel. Być może, iż gdyby nawet nie żądano tego, odjechałaby sama. Po stracie staruszki i rozczarowaniu doznany względem tilozróii-memiećkiej nic tu już ją nie wiązało. Gdy o parę wiorst odowt&u^mijała cmentarz, kazała furmanowi zatrzymać konie, poszła na cmentarz, posiedziała chwilę na murawie u brzegu mogiły staruszki, z dwoma osychają- cymi na policzkach łzami do powozu wróciła i – pojechała dalej.

Należała ona do tej kategorii natur ludzkich, które nie- zmiernie troszczą się o możliwą doskonałość tego, co czynią. Nie rozumiała nigdy, co to jest czynić cokolwiek byle kiedy i byle jak. O wczesnej bardzo porze zrywała się z pościeli swej z energią rumaka rwącego się do boju; ręka jej nabrała machinalnego ruchu sięgania po zegarek. Wiele już lat minęło, odkąd była nauczycielką, a jednak do lekcji z uczennicami swymi przystępowała zawsze z wewnętrznym niepokojem, który, jakkolwiek ukrywała go starannie, przebijał się widocznie w wyrazie ognistych jej oczu. Owszem, niepokój ten zamiast umniejszać się rósł z latami.

Ze zwykłą sobie górnolotnością wyrażen mawiała: „Nauczycielstwo to kapłaństwo” i z namaszczeniem kapłanki a zapalem apostołki przeplatała lekcje języków, geografii i arytmetyki długimi mowami o pracy, miłosierdziu, braterstwie ludzi, wielkości nauki i tym podobnych bardzo pięknych i wzniosłych rzeczach. Nie można powiedzieć, aby nauczania te, jakkolwiek przedmiotami ich były rzeczy piękne i wzniosłe, odpowiadały zasadom dobrze wy- rozumowanej pedagogiki. Pomimo woli i wiedzy panny Antoniny plątały się w nich wyrażenia i zwroty będące niby echami tłumaczonych dla wprawy we francuski język romansów, jako też studiowanej w celu kształcenia się filozofii niemieckiej. Przy tym zapal unoszący mówczynię gestom jaj. i wyrazowi twarzy nadawał cechy^5psav»<»dz&- jące częstokroć na dziecinne twarze jej słuchaczów figlarne uśmieszki. Bywały dzieci, które słuchając moralizatorskich mów jej śmiech w sobie tłumity, i takie, które słuchały ich bardzo poważnie i pilnie, ani pół słowa z nich nie rozumiejąc, i takie jeszcze, które rozumiały je trochę niekiedy, a częściowe rozumienie to od czasu do czasu w postępach swych ujawniły. Te ostatnie, sprawiały pannie Antoninie rzadkie, lecz żywe radości. Były . to niby krople rosy spadające na czoło palone gorączką.

Raz przecież – wkrótce po rozstaniu się I ukochaną staruszką – panna Antonina znalazła uczennicę idealną, taką, o jakiej marzyła od dawna, o możliwości znalezienia jej wątpić zaczynając. Dziewczynka bardzo pojętna, żywa, czuła, nie tylko uczyła się wybornie gramatyki, geografii, historii i arytmetyki, ale też niezmierne okazywała zamiłowanie do tego, co panna Antonina zwykła była nazywać „filozofią nauczania”.

Długich i gorących rozpraw jej o braterstwie ludzkim,
miłosierdziu,

pracy, nauce itd. nie tylko z wielką uwagą i prawie z chciwością słuchała, nie tylko bystro i szybko podstawowy sens ich sobie przyswajała, lecz jeszcze zapalając dziecięcą wyobraźnię swą u ognia gorejącego w piersi nauczycielki z żarliwością wielką we wszystkich okolicznościach dziecięcego życia swego stosować je usiłowała. Tak na przykład spotkawszy raz na przechadzce ubogie, żebracze dziecko z poranionymi nóżkami usiadła przy drodze i zdjąwszy wykwiłtne, małe obuwie swe, ubogiemu dziecku je oddała. Służącym zabroniła nazywać się „panienką” i co chwilę w twarz je całować chciała. Nad książkami przesiadywała do późnej nocnej godziny, co niekoniecznie może dobrze oddziaływać na zdrowie jej, lecz pannę Antoninę w zachwyty nieopisany wprowadzało. Z trudem wielkim przestudiowała ona była strategię wojskową i filozofię niemiecką bieżącego stulecia; w zamian o higienie w ogóle, a higienie dziecięcej w szczególności ze słyszenia zaledwie wiedziała. Zresztą, przez całe życie swe ciało i wszelkie jego potrzeby miała ona w wielkiej pogardzie. Wszystkim dla niej był – duch. „Będzie to piękny, czysty, wzniosły duch!” – mawiała zwykle o niepospolitym dziecku, które przez matkę swą, piękną i bardzo bawiącą się wdówkę, niezbyt uszczęśliwiane do nauczycielki swej przywiązało się rzewnie i namiętnie. Przez całe dwa lata nie rozłączały się z sobą ani na jedną godzinę. Blade, wątłe, nerwowe dziecko zasłoniło przed panną Antoniną świat cały. Prócz niego nie widziała ona nic i nikogo. Poetyczność ubrania zniknęła całkiem z uwagi jej i pamięci, przestała włosy zawijać na loczki; w zamian kształcenie się nabrało dla niej wyższej jeszcze wagi. Tyle umieć, aby móc edukację ukochanej dziewczynki aż do końca

doprowadzić – stało się najdroższym, najwyższym jej marzeniem. Do-

prowadzić ją do granic świata i rodziny, towarzyszyć jej w świecie, a potem na zawsze wejść w jej rodziną, głowę swą na zawsze u piersi jej i w ścianach jej domu utulić, a może dzieci jej jeszcze kołysać, hodować, nauczać – wydawało się to pannie Antoninie szczytem szczęścia, zarówno jak najmożliwszą ze wszystkich pod słońcem możliwości. Z serca jej i głowy nie wyszedł był jeszcze wyraz: na zawsze! Tym razem muzyka nie stawiała przed nim groźnego znaku zapytania; była ona bowiem udzielaną uczennicy jej przez inną w domu zostającą osobę. Co się zaś tyczy innych nauk, o! panna Antonina wierzyła w siły własne i długie godziny nocne i poranne przesiadując nad stołem obładowanym różnego rodzaju podręcznikami i metodami kształciła się z taką żarliwością, że żółtość cery jej i kościstość kibici czyniła szybkie i widoczne postępy. W stroju i obejściu się z ludźmi stając się poważniejszą i surowszą, w stosunku do dziecka odmłodziła i odświeżyła się. Nie wiedzieć jak, z wyobraźni jej wywijać się poczęły cudowne bajki i historie, którymi bawiła i nauczała je zarazem; nie wiedzieć jakim sposobem, nauczyła się sama biegać i śmiać się, a lekcje ze zdwojonym namaszczeniem udzielane przeplatać wesołą i głośną zabawą. Nigdy też potem zrozumieć nie mogła, skąd się jej brała fizyczna siła taka, że dziewczynkę już dwunastoletnią niby piórko chwytając na ręce, aby móc ją silniej, ściślej do piersi swej przycisnąć, ani jakim sposobem czas ubiegał tak szybko, że szare godziny, które spędzały w kątku pokoju przytulone do siebie, zdawały się graniczyć z chwilami świtania, które często sinym światłem swym przyćmiewało żółty blask nie zgaszonej jeszcze lampy. O szarej godzinie tuląc się wzajem do siebie nauczycielka i uczennica jednocześnie i z jednostajnie silnym przekona-

niem mawiały: „Nie rozłączymy się z sobą nigdy!” Jednakże rozłączyły się i w sposób bardzo naturalny. Ktoś z poważnych krewnych dziewczynki uczynił matce jej uwagę, że nauczycielka taka, jak panna Antonina, edukacji panienki mającej i do błyszczącego w świecie przeznaczonej ukończyć nie jest w stanie, że trzeba jej nauki gruntowniejszej i szerszej, jako też wyższego kształcenia się w talentach. Co prawda, krewny ów miał słuszną rację. Uznała też ją piękna i bawiąca się wdówka, tym łatwiej i chętniej, że oddanie na pensję córki dorastać zaczynającej o kilka lat przedłużało jej młodość. Dziewczynka więc oddaną być miała na pensję.. Nauczycielka o parę tygodni wcześniej dom opuszczała. W piękny, letni poranek w podróżnym ubraniu na ganek wyszedłszy nie widziała ona ani błękitu nieba, ani zieleni okrywającej ziemię, ani słońca, ani ludzi. Nie płakała. Miała tylko spieczone usta, drżące ręce i na żółtych policzkach plamy ciemnych rumieńców. Drżącymi rękami objęła raz jeszcze uczennicę swą, która szeptała jej coś do ucha. Mówiła zapewne, że nie zapomni o niej nigdy i skoro tylko z pensji wróci... Panna Antonina uwierzyła widać słowom dziecka, bo uśmiechnęła się i wyraz pocieszenia na twarz jej spłynął. Wsiadła do powozu i pojechała dalej.

Wkrótce potem zaszedł w życie jej wypadek wojbec położenia jej dość osobliwy. Miała starającego się i – odmówiła mu. Był to człowiek niestary jeszcze, zamożny obywatel wiejski, bardzo uczciwy i dość ograniczony. Była to dla niej partia świetna, ostatnia zapewne sposobność wyjścia za mąż, zapewnienia więc sobie spokojnej i z wielu stron szczęśliwej nawet przyszłości. Wszystko to czuła i uznawała sama. Toteż walczyła z sobą i wahała się długo. Ostatecznie jednak, gdy

przyszło do dania słowa kon

kurentowi, odmówiła. Dokoła uważano ją prawie za wariatkę. I sama potem mówiła nieraz, że „wedle światowych względów sądząc” popełniła wielką niedorzeczność. „Ale – dodawała zaraz – nie mogłam postąpić inaczej. Człowiek to był dobry, uczciwy, ale taki ciemny i ograniczony! O nauce ani o żadnych ideach i kwestiach literalnie, pani moja, pojęcia nie miał. Wspólności przekonań nie było pomiędzy nami żadnej i przywiązania do niego nie miałam. Wyjść za mąż bez przywiązania i bez wspólności przekonań byłoby to z mojej strony zaprzeć się swego ducha i stać się na świętym drzewie rodziny krzywoprzyjsiężnym pasożytem. Nie mogłam.” Osoby, które znały ją we wczesnej młodości, domyślały się, że była ona raz silnie w kimś zakochaną. Był to podobno jakiś brat czy kuzyn jakiejś pani domu. Można było tylko domyślać się tego, gdyż ona sama nie zwierzała się z tym nigdy przed nikim, d parę razy tylko pochwycono ją na gorącym uczynku przypatrywania się fotografii jakiegoś mężczyzny, którą też co prędzej schowała na dno szczelnie zamykającej sę szkatułki. Być może, iż echa zaznanych kiedyś wzruszeń, nadziei i cierpień znacznie przyczyniły się do tego, że w trzydziestym pierwszym roku życia nie chciała ona pochwylić przychyłającej się ku niej gałęzi „świętego dizewa rodziny”.

Później nieco doświadczyła ona wstrząśnień moralnych innego rodzaju. Po raz pierwszy w życiu swym znalazła się w domu, którego mieszkańcy posiadali wysokie umysłowa wykształcenie. Goście domu tego odznaczali się po większej części właściwością tą samą. Tam to po raz pierwszy doświadczyła ona przebłysku pojęcia o tym, czym jest istotna nauka i jakimi drogami postępować zwykło na

świecie kształcenie się. Z rozmów dokoła niej toczą

nych i -książek, których dom ten był pełen, dowiedziała się, że przez długie lat kilkanaście wyobrażając sobie, że kształci się, czyniła nie wiedzieć co. Czyniła coś istotnie i to z trudem nadzwyczajnym, ale jak potem mawiała zwykle: „Było to, pani moja, takie podobne do kształcenia się, jak pięść do nosa!” Uczyniwszy odkrycie to załamała ręce i zalała się łzami. Płakała przecież niedługo. Naprzód nie miała czasu, bo uczyła tam aż troje dzieci, następnie przyszło jej na myśl, że ma dopiero lat trzydzieści dwa. Cóż? wiek ten nie jest jeszcze starością. Uczzonego pana domu o kierownictwo a wykształconej żony jego

pomoc prosząc rozpoczęła kształcenie się a b o v o. Dopomagano jej w pracy tej szczerze i umiejętnie, ona sama zanurzała się w niej z naiwnym zapałem młodego dziew- czątka. Toteż coraz wyraźniej, coraz szerzej spostrzegać zaczynała „gwiazdę wiedzy”, gdy rodzice małych uczniów jej finansowo nadrujnowani wydzierżawili wieś swoją

w celu staranniejszego a tańszego wychowania dzieci w mieście osiąść umyślili. Nauczycielka o kilka dni wcześniej niż oni dom ich opuszczała.

Z pokoju swego wyszła w czerni cała, prosta, sztywna, a kto by ją wtedy po raz pierwszy zobaczył, myślałby pewnie, że była to kobieta szorstka i popędliwa. Czoło jej było porznięte zmarszczkami, ogniste oczy świeciły ponuro, chód i ruchy miały w sobie coś ostrego i popędliwe- go. Jednak pana i panią domu pożegnała z głębokim szacunkiem, dzieci uścisnęła serdecznie, milcząc do powozu wsiadła i pojechała dalej.

Odtąd ubierała się już zawsze jednostajnie w czarne, obcisłe suknie, a włosy, które siwieć zaczęły, z przodu za- czesywała w dwa gładkie, długie pasma, a z tyłu

okrywała czarną koronką. Ubiór ten przyczyniał się do nadawa

nia postaci jej wyrazu surowości i suchości. Wyglądała tak, jak gdyby była z drzewa wyciosaną; łokcie jej tak spiczasto rysowały się w wąskich rękawach, iż zdawało się, że ukłuć by nimi mogła; trójkąt wysokiego czoła tworzył też u góry wydłużoną spiczastość. Energia posunięta do ostrości zaprawiała ruchy jej i sposób mówienia. Dysputowała chętnie, a dysputując unosiła się, podnosiła głos, gestykulowała i w sposób szczególny z wyrażenń górnolotnych i abstrakcyjnych w wyrażenia trywialnie wpadała. Wszystkie cechy te, których powierzchowność jej i obejście się stopniowo nabierały, niedobrze względem niej ludzi usposabiała. Ona też dobrych ich usposobień dla siebie już nie oczekiwała. Powiedziała już była sobie, że „wszystkie ściany na świecie zimne i wszystkie serca obce” i że „te wielkie przywiązania pomiędzy obcymi są tylko w powieściach”. Powiedziała to sobie i z różowego morza iluzji, po którym przez całą młodość swoją pływała, wplynęła w gorzkie wody nieufności i podejrzliwości. Nieufność i podejrzliwość malowały się w wyrazistych jej oczach wtedy nawet i wtedy szczególnie, gdy ktokolwiek zwracał ku niej życzliwe lub serdeczne słowa. Na każdy objaw sympatii patrzyła w ten sposób, jakby zbadać chciała, czy nie jest braną za przedmiot żartu lub ironii. Jeżeli przekonała się, że nie był to żart ani szyderstwo, i wtedy jeszcze nie rozczułała się wcale. „Przyjaźń ludzka – mawiała – to wiatr. Przyleci i – odleci. Kto by na nią w wieku moim liczył i spodziewał się czegoś od niej, temu bym powiedziała, że jest starym dzieckiem.”

Czy głębokie zwątpienie to było we wnętrzu jej raną wieczną i mocno bolącą? Nie mówiła o tym nikomu. Ale przejęta nim przestała całkiem garnać się ku ludziom,

którzy też przygarniać ją ku sobie ani myśleli. Była to

jak z jednej, tak z drugiej strony rzecz prosta i konieczna. Prosto też i koniecznie stąd wynikało, że panna Antonina przez kilka lat następnych często miejsca zmieniała. Tu sama nie chciała być dłużej, tam jej nie chciano. Dla jednych wieczne dysputy jej i unoszenia się okazywały się nieznośnymi, inni lękali się, aby dzieci nie przejęły od niej szorstkości i trywialności układu i mowy, inni jeszcze pragnęli mieć u siebie istotę jakąś cieplejszą, potulniejszą, bardziej zdolną do przywiązania się. Ci ostatni sami nie wiedzieli najczęściej, po co by im przywiązanie to przydać się mogło i co by z nim ostatecznie uczynili, nie- i&iiej pragnęli go, a bardziej jeszcze do obowiązków osoby w domu zostającej zaliczali. Zresztą, panna Antonina miała już teraz swoje gusta i wymagania. W jednym domu było jej za gwaro, w innym za cicho, w jednym za gorąco, w innym¹ za zimno. Tak na przykład sypiając i ucząc dzieci w pokoju źle w zimie ogrzewanym, blisko okna niedbale urządzonego, dostała artretyzmu, lekkiego zrazu, niemniej dokuczliwego. Gdyby to było dawniej, zniosłaby to cierpliwie i w milczeniu, a za jedno słowo serdeczne, za jeden uśmiech przyjazny zgodziłaby się, aby w do-" datku dano jej jeszcze suchoty. Ale teraz wzajemny stosunek gospodarzy domu i nauczycielki określiwszy sobie całkiem inaczej, obraziła się za to zaniedbywanie wygod i zdrowia jej i o powóz i konie poprosiła. Zarazem powiedziała sobie: „Dość już tułaczki tej i tego wycierania cudzych kątowi" Ogarnęło ją namiętne, nieprzeparte pragnienie własnego kąta. Od dawna już nie miała matki, dla której pracowała za młodu. Była teraz zupełnie sama jedna i za siebie jedną odpowiedzialna. Przyjechała do miasta,

najęła pokój pod dachem trzypiętrowej kamienicy, urządziła go mniej jeszcze wedle swoich gustów jak wedle swoich zasad i poparta małymi stosunkami w mieście posiadanymi zaczęła dawać lekcje po domach miejskich. Osiedlając się w pokoiku swoim mówiła: „Doświadczam takiego uczucia, jak gdybym wracała z siedemnastoletniej podróży. Podróż tę zaczęłam młodziuchną dziewczeczką będąc. Siedemnaście lat, pani moja, podróżowałam. I cóż...”.

Umilkła i zamyśliła się. Zapewne do zwierzań się nie skłonna, samej siebie zapytywała: co w podróży tej zostawiła i – co z niej przywiozła?

Dzień był zimowy, trochę mroźny i bardzo wietrzny | Ż powietrza, z dachów, z ziemi gwałtowny wichur porywał śnieg twardy i ostry i z szumem, krzykiem, jękami miotał po ulicach miasta fale białego pyłu. Wszystko na świecie było białe i mętne. Na gzymsach domów i suchych gałęziach drzew krakały wrony, środkiem ulicy od czasu do czasu z głuchym klekotem dzwonek przelatywały dorożki, chodniki były prawie puste. Sklepy pozamykano szczelnie przed wiatrem i śniegiem, bramy domów zamknięte także i okna domów ze zbielełymi szybami milczały.

Wpółogłuszona przez krzyki i szumy wichru, wpółoślepią miotającym się w twarz i oczy śniegiem, z dala już jednak dostrzegłam sunącą przede mną i fale śniegowego pyłu przerywającą czarną, długą linię. Po chwili rozpoznałam, że była to postać ludzka i kobieca. W obcisłym futerku i do kostek podniesionej sukni, z rękami wsuniętymi w rękawy futerka, cienka, wysoka i wyprostowana kobieta ta szła prędko i równo, na wicher i wirującą w powietrzu śnieżycę zupełnie jakby nieczuła.

z tyłu głowy jej wiatr kręcił szalenie końcami czarnej jej woalki, ona zaś sama ani chwiała się, ani pochylała, ani zwalniała kroku.

popędzając ją zawołałam: – Panno Antonino!

Stanęła jak wryta, obejrzała się, ale gdy chciała wyciągnąć do mnie rękę i na powitanie moje odpowiedzieć, zachwiała się i, jak ktoś czujący, że upada, dłoń oparła o słup ulicznej latarni. Bładą była bardzo, usta miała wpółotwarte, oddechu jej brakowało. Dopóki szła – szła, gdy tylko stanęła, siły ją opuściły.

^– Nic to, nic – siląc się na głos i uśmiech mówić zaczęła. – Przełękłaś mię, pani, wołając na mnie tak nagle. ' Zamyśloną byłam...

– Ależ pani nie przełękłaś się, tylko się bardzo zmęczyłaś. Istotnie bo w taką pogodę...

– Co? ja się zmęczyłam? Oto także! Czy ja takie, pani moja, kursą odbywam i w takie pogody chodzę! Kobieta

. pracująca silną być powinna.

Teorię tę wnet w praktykę wprowadzając wyprostowała się i postąpiła naprzód. Dziwna rzecz! szła znowu prędko, równo, z kibicią wyprostowaną i podniesioną twarzą. I znowu za głową jej wiatr miotał i kręcił końcami jej woalki.

– Dokąd pani idziesz?

– Jak to, dokąd? Naturalnie, że na lekcję. •– Czy na pierwszą?

– A któraż teraz godzina?

– Jest już, jak mi się zdaje, około dwunastej.

– Jak mi się zdaje... – z przekąsem powtórzyła – cc to za fatalne przyzwyczajenie kobiece nie wiedzieć nigdy na pewno, która godzina. Dlatego też wszystko u kobiet

Bóg wie po jakimu idzie, a mężczyźni gardzą nimi i pomiatają...

Że w tej chwili samo niebo pomiatało nami, była to rzecz pewna. Wicher odrzucił mię o kilka kroków od towarzyski mojej, aż pod ścianę kamienicy, nią zaś szamotał tak, że zdawało się, iż już, już na klęczki upadnie. Dla utrzymania przecież równowagi rozpostarła ramiona, okręciła się parę razy na miejscu i znowu mocno na nogach stanęła.

– Przeklęty huragan – mruknęła – spóźnię się na lekcję...

– Czy to będzie dziś pierwsza lekcja? – powtórzyłam zapytanie moje.

– At! jak można o takie rzeczy pytać? Sama pani mówiłaś, że już dwunasta. Cóż to? czy to ja pasożytem jestem, żebym miała do południa z założonymi rękami siedzieć? Od ósmej jestem na mieście. Idę na czwartą z kolei lekcję.

– Skądże idziesz pani i dokąd?

Szła z jednego końca dość rozległego miasta na drugi. W połowie drogi pożegnałam ją i wchodziłam już w bramę domu, do którego dążyłam, gdy wróciła kilka kroków i za ręką mię wzięła. " >;.

– Odwiedźże mię pani dziś albo jutro – tak mi zawsze miło dawnych znajomych u siebie widzieć... tylko przed ósmą, bo o ósmej otwieram swój uniwersytet.

Mówiąc to mocno ścisnęła mi rękę. Zza woalki od zmarzłego śniegu stężalej czarne oczy jej połyskiwały gorąco i smutnie.

Na ulicy towarzystwo jej stawało się niekiedy kłopotliwym. W grubym obuwiu i w kaloszach dla zaoszczędzenia obuwia wkładanych brnąć po błocie albo najsrozsze | ślizgawice przebywając tak równym i pewnym krokiem,

jakby po gładkim granicie stąpała, bystro i uważnie patrzyła ona dokoła siebie, a czynione spostrzeżenia i doświadczane wrażenia wyrażała głośno i z energią. Kobiety strojne często na ulicach ukazujące się albo dewotki z nabożnymi księgami dokoła kościołów krążące sprowadzały jej formalne ataki oburzenia. Przystawała na chwilę, oglądała się za nimi i energicznie gestykulując nazywała je lalkami, pijawkami, pasożytami ssącymi drzewo społeczeństwa. Oczy jej zapalały się wtedy jak dwa żużle, brwi zbiegały się i nadawały czołu wyraz bolesny i groźny. Znajomym mówiła wprost i w oczy, co o nich myśli. Matkom uczennic swoich, zanadto dbającym o dokładne podobieństwo małych swych córek do żurnalów mód, prawiła:

–Wstydz się pani, wstydz się! Czy chcesz pani córki swe na pasożyty wykierować i przyczynić się do zagubienia w zarodku emancypacji kobiet? Winszuję, ale nie zazdrozczę... Mieć na sumieniu tamowanie postępu ludzkości! piękna rzecz!

Kiedy sprzeczano się z nią o „emancypację kobiet” unosiła się i pomiędzy wielu innymi przytaczała niezmiennie i ten także argument:

–Dwanaście córek i dwanaście katedr, i nikt mi tego z głowy nie wybije!

Nikt jej też z głowy wybić nie mógł, że wszyscy uczniowie szkół miejscowych bez różnicy pici byli najpiękniejszą ozdobą i nadzieją ludzkości, jak też przedmiotem budzącym w dobrze uorganizowanym sercu tkliwe uczucia. Na widok gromadki drobnych istot tych rojem ze ścian szkoły na ulicę wybiegających wzrok jej rozpromieniał, się, twarz cała nabierała wyrazu niewymownej słodyczy i czułości.

– Aniołki moje, robaczki, kołeczki – szeptała i pocałunki w powietrze ku nim rzucała.

Wśród drobnej ludności tej posiadała widać sporą ilość znajomych, bo niektóre z dzieci witały ją uśmiechem i skinieniem głowy albo nawet do ręki jej przypadłszy pocałunkami ją okrywały. Bywały to najczęściej twarze dziecinne blada we i smutne. Widocznie dziękowały jej one za coś, ale za co? — nie dowiedziałam się o tym nigdy.

Co dzień z rana wymiółłszy pokoik swój i opatrzywszy kwiatki i kanarka mówiła do siebie: „Marsz w drogę!” i wychodziła na miasto. Maszerowanie to jej przecieź słabło i wolniało na wschodach. Z coraz większą trudnością przychodziło jej wstępować na wysokie wschody. Usiłowała pokryć to, ale nie mogła.

— Albow to ja taka stara — mówiła śmiejąc się a od bólu pomimo woli brwi zsuwając.

Starą nie była istotnie, bo nie miała jeszcze pełna lat czterdziestu. Ale raz o szarej godzinie przyznała mi się, że artretyzm nabyty w ostatnim roku domowego nauczycielstwa coraz częściej i silniej ją napastuje. Wyznanie swe czyniła tak cicho, jak gdyby przez to zniżenie głosu do zrozumienia mi dawała, iż jest to głęboka i mnie tylko powierzona tajemnica.

– Pokoik ten —' dodała — jest bardzo miłutki, ale zimny w mrozy a^na wiosnę wilgotny. Zmieniać zaś mieszkanie — trudno!

Domyślała się, że trudność ta pochodziła z przyczyn częścią ekonomiczną, częścią uczuciową natury. Zdrowsze i droższe mieszkanie było zapewne nad jej możliwość, lecz zarazem pozbawiłoby ją z jednej strony ulubionego obicia z polnymi kwiatkami, z drugiej tych

radosnych i wdzięcznych podziękowań dziecięcych,
które na ulicach

miasta pod stopy jej okryte obłoconymi kaloszami padały jak perły...

Chciałam mówić z nią o cierpieniu jej, coś jej doradzić, lecz szybko zmieniając przedmiot rozmowy mówić zaczęła o rozmaitych powieściopisarzach, poetach, filozofach, jako też o różnych „kwestiach i ideach”. Nappełniająca pokój jej szara godzina zdawała się roić imionami, datami, cytatai, które gradem z ust jej się sypały. Na niskim taborecie przed palącym się w piecu ogniem siedząc, z patetycznie rozwartymi ramionami deklamowała wyjątek z poematu jakiegoś, deklamację swą przerywając dmuchaniem w stojący na ziemi samowar. Że zaś w poemacie owym znajdowała się wzmianka o Napoleonie I, skończywszy deklamować mówiła coś o strategii wojennej... Uczoną rozmowę tę ośmieliłam się przerwać zapytaniem, ile mieć może dochodu za udzielane przez się lekcje. Zmarkotniała i milczała chwilę. Bardzo nie lubiła, gdy ją o nią samą zapytywano; podejrzewała w tym zawsze jakieś ironicznę intencje. Tym razem jednak, bądź przez gościnność, bądź pod wpływem szarej godziny łagodnie zabarwionej różowymi blaskami ognia, łagodnie odpowiedziała:

– Cóż? Z początku szło mi wcale nieźle. Teraz gorzej trochę, bo konkurencja silna...

– Konkurencją?

– A tak; jest nas tu dających lekcje przepaść! W dodatku dziewczątka te, które gimnazja pokończyły, więcej ode mnie umieją i lepiej uczą, toteż najlepsze lekcje im się dostają...

Więcej umieją! Boże! Ona jednak tak długo kształciła się i tak niepospolitą miała erudycję!

– Miałam kiedyś osiem godzin dziennie – rzekła jeszcze – teraz mam już tylko pięć i bardzo lękam się... że na rok przyszyły mniej jeszcze mieć będę.

Więcej już nic o tym nie powiedziała, ale przez dobre pięć minut siedziała na tabureciku swym milcząca i zamysłona. Postać jej rysowała się w cieniu jak długa, cienka, czarna linia; chude, długie ręce bieleły na czarnej sukni; twarz wychyliła nieco na światło ognia, które w oczach jej, szklisto tkwiących w przestrzeni, zapalało drżące iskry. Zamyślenie to jej z osłupieniem graniczące i, odkąd znałam ją, pierwszy raz wymówiony wyraz: „lękam się” wiele do myślenia dawały.

Po chwili jednak szybko i raźnie powstała, zapaliła świecę i herbatę urządzać zaczęła. Przy tym mówiła znowu o wielu rzeczach uczonych i wzniosłych. W godzinę potem pokój jej napełnił się ubogą dziatwą. Uprosiłam ją, aby pozwoliła mi pozostać. Lekcje trwały dwie długie godziny, w ciągu których pokój przedstawiał istotną szkołkę wieczorną z solowym i chóralnym bąkaniem sylab na elementarzach, z pisanem liter i cyfr na zeszytach i łupkowych tablicach, z uderzaniem palcami w różne miejsca wiszącej na ścianie mapy, z klęczaniem, staniem w kącie, zapisywaniem złych i dobrych stopni etc. Wszystko to zakończyło się opowiadaniem bardzo ładnej bajki, utworem samej nauczycielki będącej, a w której były i poezja, i morał, i różne wiadomości o szerokim świecie. Dzieci w rozmaitych postawach na ziemi siedząc słuchały z zajęciem wielkim, zdradzającym się szeroko pootwieranymi oczami i ustami; panna Antonina zaś pomiędzy nimi na tabureciku siedząca opowiadała bajkę swoją z przejęciem się nadzwyczajnym, z odpowiednią mimiką, gestykulacją i deklamacją. Po bajce nastąpiło

rozdzielanie pomiędzy uczniów

bułeczki czarnego chleba, którego też cząstkę sama nauczycielka z apetytem wielkim jeść zaczęła. Potem w pokoiku zrobiło się znowu cicho i pusto. Ogień w piecu zgasł; godzina była dziesiąta.

Przy świetle jednej świecy twarz panny Antoniny wyglądała okropnie znużona; oczy jej nawet przygasły i ki-
bić zgarbiła się nieco. Ręce bezwładnie opuściła na suknię osypaną okruchami czarnego chleba na wieczerzę spożytego. Kiedy pożegnawszy ją odchodziłam, gasiła świecę i zapalała małą nocną lampkę w kącie pokoju wiszącą.

– Pozwalam sobie na zbytek ten – rzekła jeszcze – grubych ciemności nie lubię, a nocami nie zawsze sypiam.

Któż odgadnie i opowie, o czym myślała ona, co czuła, gdy w długie, zimowe noce na twardym swym, wąskim łóżeczku leżąc bezsennymi oczami wodziła po suficie i ścianach pokoiku, na których chwiejne cienie sprzętów melancholijnie łączyły się i rozstawały ze smugami bladego światła?

Dla przyczyn różnych nie widywałam jej potem przez lat przeszło trzy, a gdy następnie zapytałam o nią u stróża kamienicy, pod dachem której po raz ostatni ją widziałam, odpowiedział mi, że od dość dawna już tam nie mieszkała. Dość długo pytać o nią i szukać jej musiałam, zanim na koniec dowiedziałam się, gdzie przebywa. Nie było w tyra nic dziwnego. Od kilku miesięcy już ludzie widywać ją przestali.

Wszedłszy na korytarz szpitala wąski, długi, z białymi jak śnieg ścianami i błyszczącą jak lustro posadzką zapytałam przechodzącego posługacza o osobę, którą odwiedzić chciałam. Wskazał mi jedne spomiędzy drzwi,

których

dwa długie szeregi znajdowały się po obu stronach korytarza. Weszłam. Znowji pokoik, ale bez obicia z polnymi kwiatkami, bez obrazków, kanarka i kwitnącej pelargonii. Czarne prąty żelaznego łóżka suchymi liniami rysowały się na ścianach białych jak śnieg a tak wysokich, że trzeba było długo podnosić wzrok, aby dosięgnąć nim sufitu. Za ogromnym, nagim oknem ze zwiniętą u góry żółtawą storą, w gęstej jesiennej mgle chwiały się zwolna bezlistne szczyty topoli rosnących w szpitalnym ogrodzie. Naprzeciw okna wysokie i jak zwierciadło od polityry błyszczące drzwi, przy łóżku stolik żelazny, u przeciwległej ściany stół i dwa żółte stołki. Czysto tu było, widno, nago, smutno i okropnie nudno. W dobrze ogrzanym i oświeżonym powietrzu drgało nieujęte uczucie chłodu i unosiły się cklive wonie lekarstw.

Na żelaznym łóżku o wysokich, czarnych prętach, na białej jak śnieg pościeli, pod żółtawą kołdrą szpitalną leżała panna Antonina. Mocno siwe włosy jej całkiem były w tył-Odczesane, przez co odkryło się przysłaniane dawniej wysokie i wypukłe jej czoło. Przy twarzy zmalalej od wychudnięcia czoło to wyglądało ogromnym, a okrywał je rój drobnych, gęstych, w różne kierunki krzyżujących ||| zmarszczek. Zapadłe oczy jej przypominały okryte parą zwierciadło; wąską linię ust bladych i ściśniętych okrążał wyraz milczącego cierpienia. Twarz ta woskową żółtością swą odbijała silnie od bieli poduszki, w zamian splecione ręce jej, delikatne, z siatką błękitnych żyłek, wydawały się bardzo białymi na tle żółtej kołdry. Zrazu nie poznała mię. Wzrok miała osłabiony, nade wszystko zaś nie spodziewała się odwiedzin jakichkolwiek. Potem z uśmiechem wyciągnęła do mnie rękę i usiłując jeszcze być gościnią chciała podnieść się, usiąść. Nie mogła

jednak. Była

bardzo słabą i oddech miała krótki, ciężki, głośny. Leżąc więc powiedziała mi, że zostaje tu już od kilku miesięcy. Zbierało się jej, zbierało na tę długą chorobę przez lat kilka, aż na koniec zebrało się. Artretyzm spadł jej na płuca, zapewne dlatego, że wiele chodziła po wietrze i słońcu, a przy lekcjach musiała ciągle mówić. Zresztą, lekcji miała już w ostatnich czasach coraz mniej. Zmuszoną była wziąć mieszkanie tańsze, które było chłodniejszym jeszcze i wilgotniejszym od tamtego. Kiedy zachorowała, przez parę miesięcy leżała w mieszkaniu swoim, ale potem... Kuracja kosztowała bardzo drogo i dozoru nad sobą akuratnego mieć nie mogła... Cóż? w szpitalu tym bardzo jest dobrze; lekarze dobrzy tu są i troskliwi, dozór dobry i wszystko na zażądanie. W dodatku, dobrzy ludzie wystarali się o to, aby mogła leżeć nie we wspólnej sali, ale w osobnym pokoju. Płacą nawet za to, ale cóż robić? Musi już ona przyjmować ofiarę tę i • bardzo jest za nią wdzięczną.

Wszystko to mówiła cicho, zwolna i z uśmiechem. Po-tem spoczawszy minut parę dodała:

– Tak to już na świecie jest, pani moja! człowiek złożony jest z ducha i z ciała, i nie tylko duchowe, ale i cielesne dolegliwości mieć musi. I żeby to tak zaraz umierać, jak tylko duch albo ciało bardzo cierpieć zaczną. Ale gdzie tam! Nim śmierć przyjdzie, wszystkiego doświadczyć trzeba... Taką już jest sroga rzeczywistość...

Odpočawszy nieco wypytywać się zaczęła: co tam na świecie słycać? co piszą w gazetach? jakie nowe książki wyszły? czy w parlamencie angielskim odbyły się już narady nad dopuszczeniem kobiet do wotowania? itp. Odpowiedzi na pytania te słuchała prawie z chciwością. Parę razy oczy jej zapłoneły dawnym

ogniem i uśmiech szcze

ry, prawie wesoły, okrążył usta. Potem westchnęła i utkwiała wzrok w kołyszące się za oknem bezlistne szczyty topoli.

– Tak, tak! – szepnęła – świat idzie sobie drogą swoją, choć ludzie jak muchy z drogi tej znikają... Chciałabym bardzo popatrzeć jeszcze na to wszystko i... mogłabym... wszakże tak bardzo starą nie jestem...

J Miała wtedy lat czterdzieści parę. Nie była więc już młodą. Jednak widywałam kobiety w jej wieku tańczące na balach - i inne, które w silnych ramionach kołysały malutkie wnuki. Ona nie mogła już dnia tego mówić ani słuchać więcej. Po półgodzinnej rozmowie żółte powieki jej opadły bezsilnie na zgasłe źrenice, ręce i wargi zacisnęły się w niezmiernym wysileniu woli powstrzymującej jęki.

Innego dnia wchodząc do szpitalnego pokoju znalazłam chorą wpółsiedzącą na łóżku z małą, otwartą szkatułką na kolanach. Tak była pogrążoną w rozpatrywaniu przedmiotów znajdujących się w szkatułce, że zrazu wejścia mego nie spostrzegła. Usłyszawszy dopiero powitanie moje podniosła głowę i zwolna, nie śpiesząc się szkatułkę zamknęła. Była dnia tego trochę silniejszą, lekarstwo jakieś ulgę jej sprawiło. Po kwadransie rozmowy o tym, co na świecie 6łychać, z uśmiechem rzekła:

– Widzę, że spoglądasz pani ciągle na szkatułkę moją i pewnie ciekawa jesteś, co się w niej znajduje... Może nawet myślisz sobie: „Ot, chytra babina! uciulała sobie przez całe życie pełną szkatułkę pieniążków, a teraz na szpitalnym łóżku leżąc liczy je sobie dla rozrywki i może kupony od bilecików odcina!...”

Mówiąc to śmiała się tak serdecznie, że aż potem zakaszła się gwałtownie i przez minut kilka leżała bez ru-

chu, z zamkniętymi oczami, prędko i chrapliwie oddychając. Podniosła potem ciężkie powieki i omglonym wzro

kiem długo na mnie patrzała. Nie śmiała się już ani uśmiechała. Powoli i tak cicho, że zaledwie dosłyszeć ją mogłam, mówić zaczęła:

–Owszem, z przyjemnością pokażę pani, co mam w tej szkatułce. Nie ma tam klejnotów ani osobliwości żadnych, tylko... są wszystkie moje pamiątki...

Otworzyła szkatułkę pełną przedmiotów jakichś w papiery i papierki pozawijanych. Rozwinęła papierek jeden i pokazując mi duży liść dębowy, tak zeschły, że prawie w proch rozsypujący się, rzekła:

– Zerwałam to z drzewa, wyjeżdżając od państwa Skierskich... pamiętasz pani? z tego domu, gdzie mi tak dobrze było, gdzie tak wszystkich, wszystkich kochałam... Pod drzewem tym siadywałam zwykle przez całe lato z uczennicami mymi, z robotą, z książką... dobrze mi wtedy było... Myślałam, że tam długo, długo będę... może i zawsze. Kiedy już trzeba było odjeżdżać, wycalowałam drogie moje drzewo i liść ten na pamiątkę domu tego z sobą powiozłam... Nazywam go sobie zawsze liściem wiary, bo wierzyłam wtedy w serca ludzkie, w przyjaźń, przywiązanie, wierność... ach! jak wierzyłam!...

Zwłoki, a raczej prochy „liścia wiary” starannie znowu owinąwszy w papierek powoli rozwinęła drugi.

–A to, widzisz pani, pasemko włosów mojej babuni... staruszki tej, której ostatnich lat osłoda byłam i która w chwili skonania tak czule mię pobłogosławiła... Białe to jak śnieg i błyszczący jak srebro... Biedna, kochana staruszka! Nazywała mię zawsze Antosią!

Tu drżące trochę palce jej spotkały się w szkatułce z przedmiotem, przed ukazaniem którego zawahała się chwilę. Zdaje się, że blady, zaledwie dostrzegalny

rumieniec na mgnienie oka zamigotał pośród
zmarszczek jej czo

ła. Na koniec w palcach jej ukazała się fotografia.

Podając mi ją, szepnęła:

–To oni

Spuściła wnet o, czy 4 długo nie mówiła nic.

Fotografia splotła i w pół zatarta przedstawiała twarz młodego mężczyzny ani piękną, ani brzydką, tak już zresztą niewyraźną, że nic z niej wyczytać nie można było. Gdy przypatrywałam się jej, panna Antonina nie podnosząc powiek szepnęła:

–Widzi pani, każdy człowiek na świecie ma sobie w przeszłości swej poemacik jakiś. I ja go mam. Była to tylko chwila... iskra czy róża przeleciała mi przez drogę... Coś pamiętam... jakieś ranki letnie w pięknym ogrodzie, jakieś wieczory jesienne przy ogniu kominka... zdaje mi się, że on mię prawdziwie kochał. A może i nie?... Czy ja wiem... Zniknęło! i jakże to dawno już było... dawno... dawno!

–Czy widywałeś go pani potem?

–Nigdy; najczęściej ludzi, z którymi rozstawałam się, nie widywałam już potem nigdy. I jej także nigdy już nie widziałam...

Tu podała mi zeszyt dziecięcą ręką zapisany. Były to „wypracowania” owej najdroższej uczennicy jej.

–,Co to było za dziecko!– zawołała i dźwignięta wracającym jej dawnym zapalem usiadła na łóżku – była to, pani moja, dziewczynka genialna! Jak ona wszystko rozumiała, jakim stylem już pisała, jakie szlachetne* wzniosłe uczucia napełniały już to dziecinne serce!

Splotła ręce, wzniesione oczy jej płonęły. -

– O pani moja! żeby mi kto powiedział, żeby mi kto powiedzieć mógł, że nauki moje zostawiły w dziecku tym ślad trwałe* że ziarna, które w nie rzucałam, świat nie

zdeptał i na cztery wiatry nie rozniósł... żeby mi kto powiedział, że jest ona teraz kobietą rozumną i wzniosłą... umarłabym błogosławiąc tego, kto by mi wlał w usta tę kroplę słodyczy!...

Opadła na poduszki zmęczona, bezsilna, z dyszącą pierśią.

–I nie odezwała się już ona do pani nigdy?

Odszepnęła bardzo cicho:

–Nigdy. Przyrzekała pisywać do mnie i gdy dorośnie, wezwać mię do siebie, ale... dzieckiem jeszcze była... zapomniała!

Było tam jeszcze, w szkatułce tej, kilka innych przedmiotów starannie chowanych: spory zeszyt notat i wyciągów z -książek najróżniejszej natury; długi spis tytułów dzieł przez całe życie przeczytanych, jako też imion ich autorów, słowem, ślady i pamiątki długoletniego, żarliwego kształcenia się.

Na wznak leżąc, z przymkniętymi od zmęczenia oczami, panna Antonina wynalazła w szkatułce jeden jeszcze papierek, a gdy go rozwinęła, zobaczyłam mały kąsek i trochę okruch czarnego chleba.

–To z mego pokoiku... tego, w którym pani bywałaś. Łamałam się tam z biednymi dziećmi czarnym chlebem wiedzy mojej i moich dostatków... Zmieniając mieszkanie wzięłam go trochę z sobą na pamiątkę...

Potem przez dość długi szereg dni następnych znajdowałam najczęściej pannę Antoninę pogrążoną w rozpatrywaniu zawartości swej szkatułki. Im słabszą była i więcej cierpiała, tym pilniej i nieustannie przyglądała się przedmiotom z papierków odwijanym. Przestała już zapytywać o to, co na świecie słyhać. Często zdawała się zapominać o obecności mojej. U ogromnego,

nagiego okna g robotą

siedząc długie chwile przypatrywałam się jej, gdy nad szkatułką swoją schylona w wychudłych palcach trzymała okruchy dębowego liścia albo pasmo siwych włosów, albo spłowiałą, mętną fotografię, albo jeszcze jeden z uścielających dno szkatułki zeszytów i wlepiając w nie oczy poruszała zwolna spieczonymi wargami, jakby wiodła z nimi tajemnicze, czułe niekiedy, a niekiedy gorzkie i gniewne rozmowy.

Raz po długim wpatrywaniu się w jeden z zeszytów żywym ruchem podniosła głowę i po dawnemu pięść ściskając zawołała:

– Żeby mi kto powiedział, po co ja tę strategię i tę filozofię niemiecką studiowałam! Siwieć zaczęłam., prawdę powiadam, pani moja, że nad tą strategią i nad tą filozofią siwieć zaczęłam!

Mimo woli uśmiechnęłam się. Spostrzegła to; gniewnie wstrząsnęła głową.

– Śmiejesz się pani – sarknęła – przepraszam, ale wcale nie ma z czego. Kiedy kto gwiazdę wiedzy ukocha i dążyć do niej pragnie, a drogi prostej nie zna, omackiem idzie... Ludzi to śmiesz, zapewne; ale tym, co sobie łby o ściany rozbijają, wcale niewesoło... Oho! gdybym się ja drugi raz na świat urodziła albo gdybym córki miała...

Innego dnia po całej godzinie rozpatrywania się w pamiętkach swoich podniosła na mnie wzrok łagodny i pełen wyrazu prośby;-

Pani moja droga – rzekła – jeżeli ja z choroby tej umrę, bądź tak łaskawą i spal wszystko, co w tej szkatułce... Po co się to ma po szpitalnym śmietniku ciągać. Wszak to cała przeszłość moja i...

Uśmiechnęła się.

– I... wszystkie zdobycze mego życia.

Na wznak Jeżąc omglonym, zadumanym wzrokiem zwolna ścigała chwiejące się w mgle jesiennej szczyty ogrodowych topoli. Potem rzekła jeszcze:

– W ogień – j koniec. Spali się to i – śladu po mnie na ziemi tej nie zostanie.

Tu jakby wstrząśnięta brzmieniem wyrazów własnych, uczyniła ruch żywy; łokciem Wsparta o poduszkę w pół-podniosła się i prędko, ciężko dysząc zawołała:

— Czyż naprawdę żadnego, {żadnego śladu nie zostanie?

W oczach jej nagle rozpromienionych malowało się niepokojne, gwałtowne, rozpaczliwa prawie pytanie. Pytaniem tym dręczyła się ciągle prz^z kilka dni następnych.

– Bo jeśli nic, nic nie zostanie... to po cóż było... to jakież sens...

Potem z rozwagą i łagodnie mówiła...

– A może i zostanie coś... Mozę w tych małych głowach i sercach zostało z nauk moich choć trochę. Z całej siły pragnęłam... starałam się... zresztą choćby i to, że czytać je nauczyłam... j

Dręcząc się tak i pocieszając z kolei, słabła coraz bardziej. Dolna część jej twarzy wydawała się coraz mniejszą, a czoło coraz ogromniejszym i wypuklejszym. Po - kil-? ku dniach przestała już-troszczyć się i ó pozostawienie śladów swych na ziemi;' przynajmniej nie mówiła już o tym. Całkiem prawie mówić przestała i leżała nieruchomo, czasem jeszcze tylko rozwijając który z papierków i na zawartość jego zwracając wzrok mdlejący w osłabieniu albo rozplomieniony gorączką. Zapytałam ją raz, czy bardzo cierpi. Z cieniem dawnej porywczosci i patetyczności odpowiedziała:

–Czarne noce o tym wiedzą, a pewnie opowiadać tego nikomu nie będę.

Po chwili do siebie samej szepnęła:

– Gdybym miała córki...

Zaczęłam mówić jej, że przecież pomiędzy ludźmi...

– Tak, tak – podchwyciła – zapewne! Ludzie byli dla mnie zawsze więcej dobrzy niż źli. Ot i kiedy zachorowałam, przywieźli mię tu w wygodnym powozie, najęli osobny pokoik, z początku odwiedzali nawet czasem., potem przestali odwiedzać, bo każdy ma swoje zajęcia, stosunki... bardzo wdzięczną jestem za wszystko... ale te wielkie przyjaźnie i przywiązania pomiędzy obcymi... to tylko w powieściach...

Dnia pewnego znalazłam ją tak już słabą, że leżąc oddychać nie mogła. Podłożono jej za plecami tyle poduszek, aby utrzymywała się w postawie siedzącej. Na kolanach jej stała otwarta szkatułka. Gdy usiadłam przy łóżku, nie poruszając głową, bardzo powoli wzrok na mnie zwróciła.

– Wiesz pani? – szepnęła – znowu doświadczam uczucia takiego, jak gdybym wracała z długiej, długiej podróży... Dwadzieścia sześć lat podróżowałam i ani jednego dnia swobodnie po świecie nie bujałam... I cóż...

Znowu nie dokończyła, ale ręce jej podobne do rąk szkieletu, nad otwartą szkatułką rozwarte i drżące, zdawały się zapytywać: co w podróży tej pozostawiła i co z niej przywiozła?...

*

* *

Marzy mi się nieraz, że kędyś w niewidzialnej strefie duchowych dziejów ludzkości, istnieje mgławica jakaś

ogromna i niezgłębiona, złożona z dusz, które życie dostało w postaci pąka pięknego kwiatu, a wypuściło z swych objęć poszarpane i zmięte. Duszo zmęczona, nie wynagrodzona, leć w tę wymarzoną mgławicę! Może ona kiedyś utworzy świat nowy i lepszy...